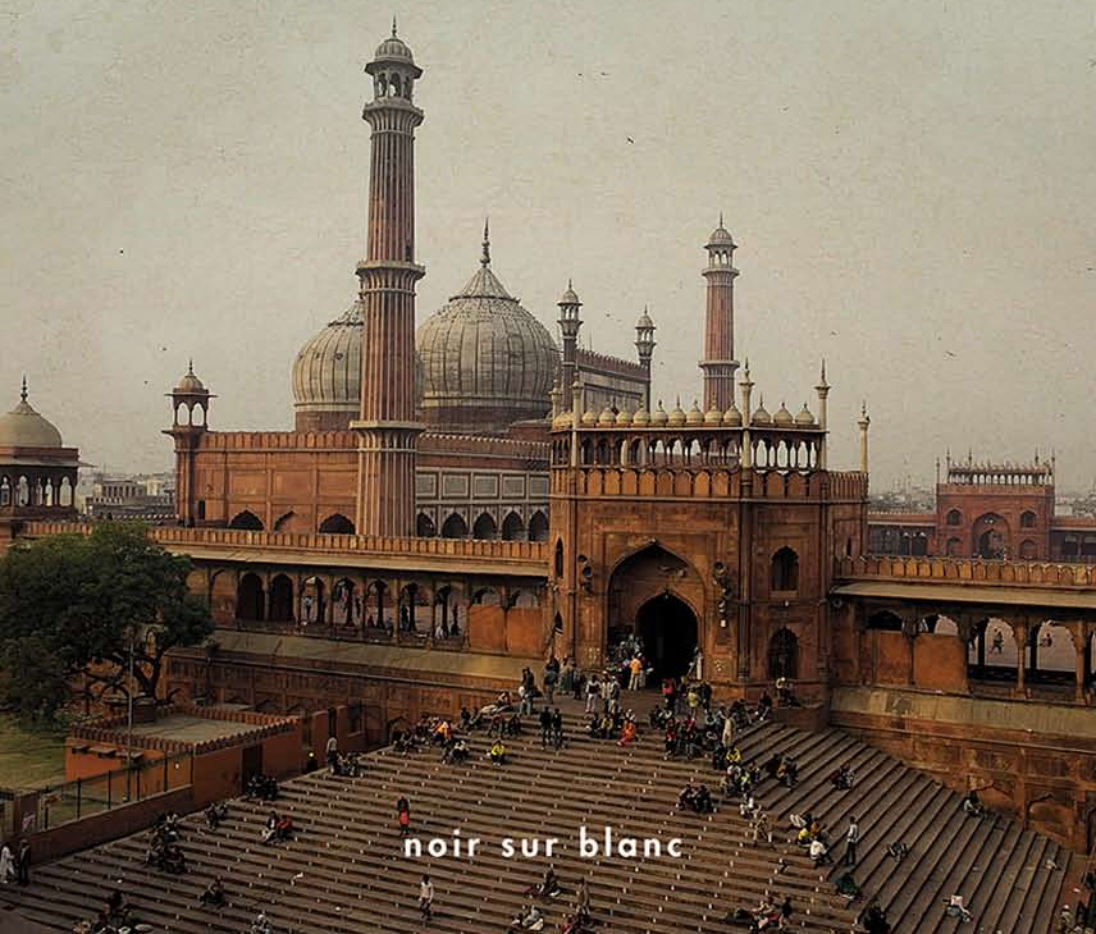


William Dalrymple
Miasto dżinów

ROK W DELHI



noir sur blanc

WILLIAM DALRYMPLE

MIASTO
DŻINÓW

Rok w Delhi

Ilustrowała
Olivia Fraser

Przełożyła
Berenika Anna Janczarska

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału
City of Djinnns: A Year in Delhi

CITY OF DJINNS : A YEAR IN DELHI by William Dalrymple
Copyright © William Dalrymple, 1993
Published by arrangement with David Godwin Associates, London

For the illustrations
Copyright © Olivia Fraser

For the Polish edition
Copyright © 2016, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-575-5



PROLOG

Pierwszego sufiego* spotkałem w twierdzy Firoz Śaha. Pir Sadr ud-Din miał bystre oczka i brodę splątana jak ptasie gniazdo. Święty mąż posadził mnie naprzeciw siebie na dywanie, poczęstował herbatą i rozpoczął swą opowieść o dżinach.

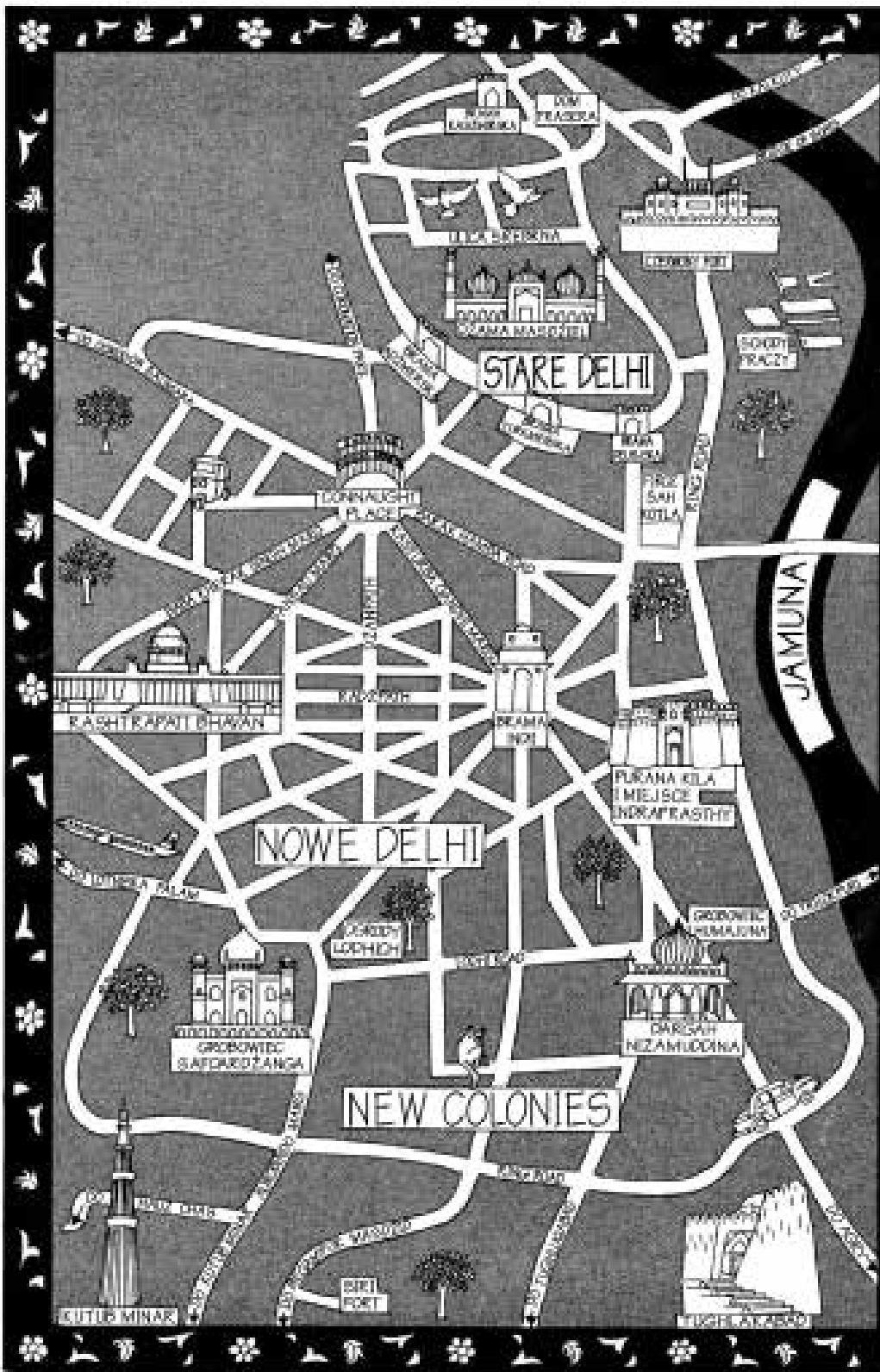
Gdy na początku świata Allah uformował Adama z gliny, powołał do bytu także inne istoty, we wszystkim podobne do człowieka, ale stworzone z ognia. Dżiny to byty duchowe, niewidoczne dla ludzkiego oka; aby je ujrzyć, należy modlić się i pościć. Sadr ud-Din przesiedział półnagi u stóp Himalajów czterdzieści jeden dni, nie przełknąwszy ani kęsa; potem tyleż samo wystął zanurzony po szyję w wodach Jamuny.

Pewnej nocy, gdy spał na cmentarzysku, odwiedził go sam król dżinów.

— Był czarny, wielki jak drzewo i miał tylko jedno oko pośrodku czoła — powiedział pir. — Obiecywał dać wszystko, czego zapragnę, ale za każdym razem odmawiałem.

— Pokażesz mi kiedyś dżina? — spytałem.

* Słowniczek wyrazów i zwrotów obcojęzycznych znajduje się na końcu książki (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).



STARE DELHI

NOWE DELHI

NEW COLONIES

JAMUNA

DOM TRADERIA

SOOMA MASHOFTI

CONNAUGHT PLACE

RASHTRAPATI BHAWAN

REHMA BADI

PURANA KILA
I MEJSCE
INDRAFRASHTI

GROBOWEC
SAIFARODZANGA

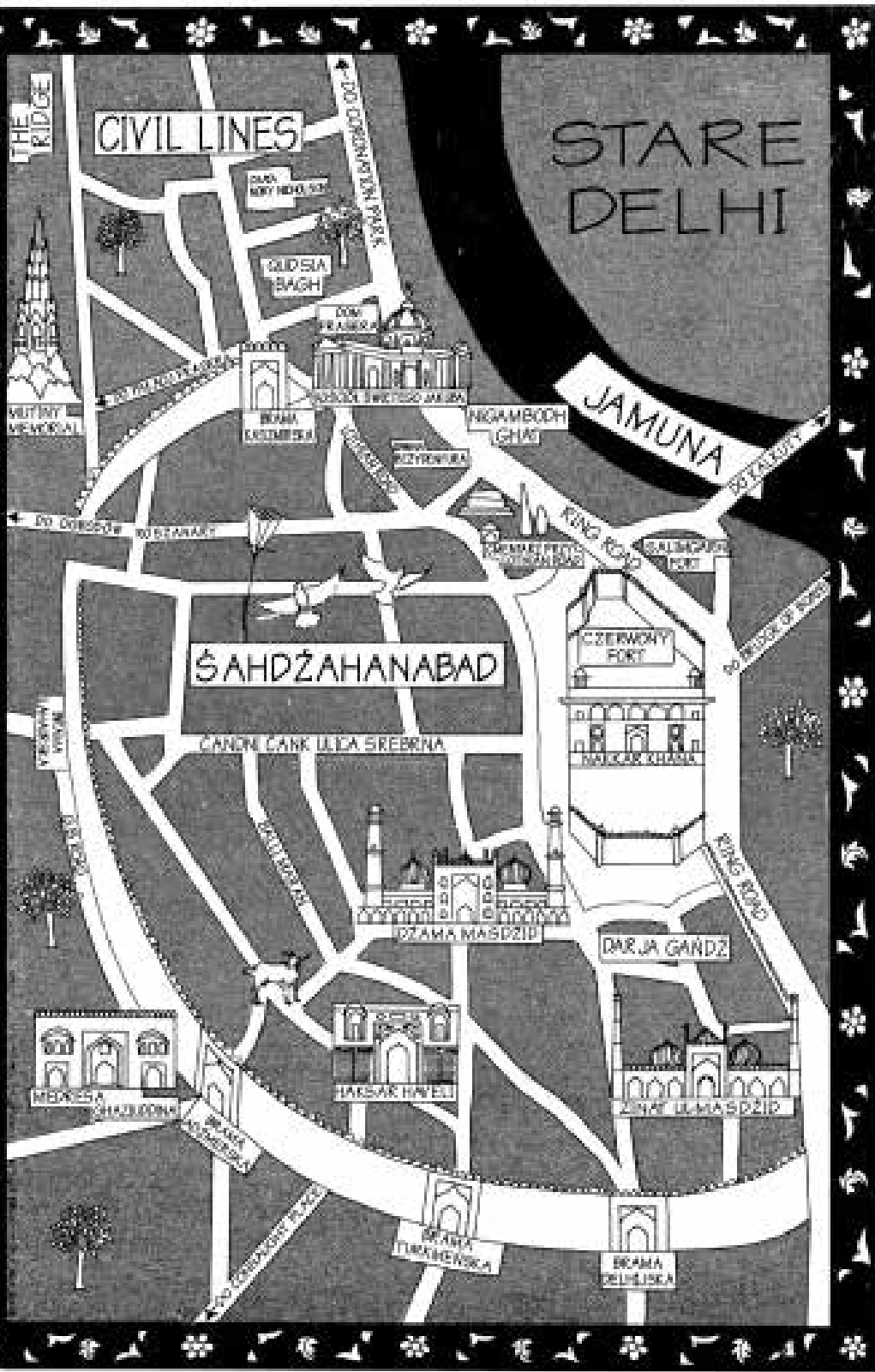
GROBOWEC
REMAJUNA

DARSAH
NIZAMUDDINA

QUTUB MINAR

CHAI POST

MEHSUR WOLANSKI



CIVIL LINES

STARE
DELHI

THE
RIDGE



QUTUB
MINAR

QILA
MUBAI
KOT

GHUMSA
BAGH

ROAD
TO
DARGAH
MOHAMMAD
SAFI



BADLI
MASJID



JAMA
MASJID

INGAMBODH
GHAT

CHANDI
MANSION

JAMUNA



REDA
FORT

KING
ROAD

SALARPUR
FORT

ROAD
TO
MADRAS

SHAHJAHANABAD

CHANDI
GATE
ULICA
SREBRNA



CHATTRI
FORT

MAJLIS
KHANA



JAMA
MASJID

DARJA
GANDZ

KING
ROAD



MEENA
CHAUDHARY
MASJID



LAKSHMI
NARAYAN
TEMPLE



ZINDA
GUMBASTAH



DARGAH
TURAKHANIKA



DARGAH
DELHOUSIA

ROAD
TO
MADRAS

ROAD
TO
MADRAS

ROAD
TO
MADRAS

ROAD
TO
MADRAS

— Pewnie — odparł. — Ale będziesz uciekał, ile sił w nogach.

Miałem zaledwie siedemnaście lat. Po dziesięciu latach nauki w szkole położonej w niewielkiej dolinie pośród wrzosowisk północnego Yorkshire zupełnie niespodziewanie znalazłem się w sercu Indii, w Delhi. Od pierwszej chwili oczarowało mnie to niesamowite miasto, tak bardzo odmienne od wszystkiego, co dotąd widziałem. Delhi — jak się zrazu wydawało — obfitowało we wspaniałości i okropieństwa: labirynt, miasto pałaców, gnijące śmietnisko skąpane w przefiltrowanym przez misterne treliaże światle, pejzaż usiany kopułami, kipiący od ludzi bezład, rozkaszały od spalin i woniejący przyprawami.

Miasto to — o czym się wkrótce przekonałem — było też niewyczerpaną skarbnicą opowieści, podań starszych niż przekazy historyczne, nieprzebranych pokładów mitów i legend. Moi przyjaciele, umęczeni naprzykrzającymi się na Dżanpath naganiaczami, uciekali na plaże Goi, ale na mnie stolica rzuciła trwałą urok. Zabawiłem w niej dłużej i wkrótce zatrudniłem się w przytułku dla nędzarzy, położonym na północnym skraju miasta.

Okna pokoju, w którym ulokowały mnie zakonnice, wychodziły na wysypisko. Gdy o poranku wyglądałem na dwór, widziałem smutne zastępy śmieciarzy przeszukujących cuchnące sterty odpadków; na miedzianym niebie ponad ich głowami niesione przez prądy powietrzne sępy zataczały kręgi, tworząc wzory niczym szkiełka w kalejdoskopie. Popołudniami, gdy zamiotłem kompleks, a jego mieszkańcy ucinali sobie drzemkę, wymykałem się na zewnątrz, by pozwiedzać okolicę. Brałem wtedy riksę ijechałem w głąb Starego Miasta; mijając zwięzające się gardziele przesmyków i alejek, zaułków i ślepych uliczek, czułem, jakby domy wokół mnie się zakleszczały.

Latem wybierałem mniej klaustrofobiczne przestrzenie Lutyensowskiego Delhi. Tam, w pulsującym słońcu, space-

rowałem nieśpiesznie w szpalerze rzucających cień miódł indyjskich, tamaryndowców i drzew ardżuna, mijając klasyczne białe bungalowy z wybrzuszonymi fasadami, obsadzone krzewami gulmohar — wianowłostki — o kwiatkach w kolorze płynnego złota.

Zarówno w Nowym, jak i w Starym Delhi moją uwagę przykuwały ruiny. Mimo wysiłków podejmowanych przez urbanistów, by stworzyć nowoczesne enklawy z połyskliwego betonu, na rondach i w miejskich parkach wyłaniały się zniecka nadgryzione zębem czasu wieże grobowców, stare meczety i medresy — tradycyjne islamskie szkoły, zakrzywiając sieć ulic i zasłaniając zakątki pola golfowego. Nowe Delhi wcale nie było nowe. Swoimi szerokimi alejami obejmowało postępującą nekropolię, cmentarzyisko dynastii. Niektórzy twierdzili, że istniało aż siedem wymarłych Delhi, a obecne jest ósme z kolei; inni wymieniali ich aż piętnaście, a nawet dwadzieścia jeden. Wszyscy zgadzali się co do tego, że pozostałości po tamtych grodach są niezliczone.

Co jednak czyniło Delhi tak wyjątkowym, to to, że we wszystkich częściach miasta spotykało się tu także ludzkie zabytki. O dziwo, w różnych jego obszarach przechowały się w stanie nienaruszonym odmienne stulecia, a nawet tysiąclecia. Przybysze z Pendżabu byli niczym papierek lakmusowy dla współczesności — w swoich zwinnych maruti, zafascynowani każdą nowością, przywoływali ostatnie echa lat osiemdziesiątych. Leciwi majorzy spacerujący w Ogrodach Lodhich wyglądali, jakby ich zamarynowano jakieś pół wieku wcześniej. Z długimi wywiniętymi wąsami i akcentem w stylu komedii wytwórni Ealing utknęli w czasie gdzieś około roku 1946. Eunuchowie ze Starego Miasta, a niektórzy z nich posługiwali się dworskim urdu, odnaleźliby się pewnie, perorując na dworze Wielkich Mogołów. W sadhu z Nigambodh Ghat widziałem zagubionych we współczesności mieszkańców Indraprasthy,

mitycznego pierwszego Delhi, o którym wspomina *Mahabharata*, wielki epos Hindusów.

Ulicami chodzili ludzie reprezentujący wszystkie możliwe epoki historyczne. Różne tysiąclecia trwały obok siebie w doskonałej harmonii. Ludzie o mentalności z odmiennych stuleci krążyli tymi samymi ulicami, pili tę samą wodę, obracali się w ten sam proch.

Na czym jednak polega tajemnica, która pozwala miastu wciąż na nowo powracać do życia, dowiedziałem się dopiero kilka miesięcy później. Pir Sadr ud-Din zdradził mi, że Delhi to miasto dżinów. Choć raz po raz, tysiąclecie po tysiącleciu, najeźdźcy obracali je w zgliszcza, odradzało się niczym Feniks z popiołów. Podobnie jak Hindusi wierzą, że będą się inkarnować dotąd, aż osiągną doskonałość, tak przeznaczeniem ich stolicy był najwyraźniej krąg wcieleń, przyoblekanie się w coraz to nowe ciało. Dżiny ukochały Delhi tak bardzo, wyjaśniał mi Sadr ud-Din, że nie zniosłyby widoku opuszczonej lub wymarłej stolicy. Do dziś nawiedzają każdy dom, każdy róg ulicy. Nie można ich zobaczyć, ciągnął Sadr ud-Din, ale jeśli mocno się skupisz, zaznasz ich obecności, usłyszysz ich szepty, a nawet, jeśli dopisze ci szczęście, poczujesz na twarzy muśnięcie ich ciepłego oddechu.

Uświadomiłem sobie wtedy, że znalazłem temat na książkę: portret miasta rozszczeponego w czasie, miasta, w którym ocierają się o siebie różne epoki. Miasta dżinów.

Wróciłem do Delhi pięć lat później, we wrześniu, z Oliwią, swoją nowo poślubioną żoną. Znaleźliśmy niewielkie mieszkanie na poddaszu, nieopodal Nizamuddinu, wioski sufich, i uwiliśmy sobie w nim gniazdko.

Naszą gospodynią była pani Puri.